

LUCINDA RILEY

ZAGINIONA
SIOSTRA

— SIEDEM  SIÓSTR —

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE MISSING SISTER (BOOK 7 OF THE SEVEN SISTERS SERIES)

Copyright © Lucinda Riley 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2021

Redakcja: Joanna Kumaszczyńska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Opracowanie graficzne okładki: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Zdjęcia na okładce: © Alexandre Rotenberg/Arcangel Images (*kobieta i plaża*);
Anna Shvets/Pexels (*niebo*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Pamiętam dokładnie, gdzie byłam i co robiłam, kiedy zobaczyłam, że ojciec umiera. Stałam mniej więcej w tym samym miejscu co teraz, oparta o poręcz drewnianej werandy otaczającej nasz dom. Patrzyłam na ludzi zbierających winogrona, posuwających się wolno wzdłuż równych rzędów krzewów, ciężkich od dojrzałych owoców. To był urodzajny rok. Już miałam zejść po schodkach, żeby dołączyć do pracujących, kiedy kątem oka dostrzegłam, jak górująca nad wszystkimi sylwetka ojca nagle znika z pola widzenia. Z początku wydało mi się, że przyklął, by podnieść winne grono – nie znosił marnotrawstwa w żadnej postaci, co przypisywał prezbiteriańskim tradycjom wpojonym mu przez rodziców pochodzących ze Szkocji – ale zaraz zobaczyłam, jak ludzie pracujący przy sąsiednich rzędach rzucają się w jego stronę. Z werandy do tego miejsca było jakieś sto metrów i nim tam dobiegłam, ktoś już rozpiął mu koszulę i starał się go reanimować, naciskając na pierś i wdmuchując mu powietrze do ust. Ktoś inny wzywał pogotowie. Karetka przyjechała po dwudziestu minutach.

Kiedy kładli go na nosze, jego twarz była jak z marmuru. Od razu wiedziałam, że nigdy już nie usłyszę jego niskiego mocnego głosu, który choć miał w sobie tyle powagi, to w jednej chwili mógł przejść w śmiech. Łzy płynęły mi po twarzy, gdy pocałowałam go lekko w ogorzały, wysmagany wiatrami policzek i powiedziałam mu na pożegnanie, że go kocham. Kiedy teraz o tym myślę, całe to potworne doświadczenie wydaje mi się czymś nierealnym – to przejście, od pełni życia do... no, nie wiem... pustego, pozbawionego energii ciała. Tego nie da się pojąć.

Od wielu miesięcy cierpiał na bóle w klatce piersiowej, ale udawał, że to tylko niestrawność. Wreszcie udało się go przekonać, by poszedł do lekarza. Dowiedział się, że ma wysoki poziom cholesterolu i musi przestrzegać diety. Razem z matką martwiłyśmy się bardzo, bo nadal jadł, co chciał, i codziennie wypijał do kolacji butelkę czerwonego wina z własnej winnicy. To, że wreszcie stało się najgorsze, nie powinno być dla nas zaskoczeniem. Ale może uważałyśmy go za niezniszczalnego. Jego silna osobowość i pogoda ducha podtrzymały to złudzenie. Jednak, jak z goryczą stwierdziła matka, wszyscy jesteśmy tylko zwykłymi śmiertelnikami. Tata przynajmniej żył po swojemu do samego końca. Poza tym skończył siedemdziesiąt trzy lata, o czym zawsze zapominałam, bo wydawał się w tak dobrej formie fizycznej i umiał cieszyć się chwilą.

W efekcie czułam się oszukana. Przecież miałam dopiero dwadzieścia dwa lata i choć zawsze wiedziałam, że pojawiłam się w życiu rodziców dość późno, znaczenie tego dotarło do mnie dopiero po tym, jak tata zmarł. Przez parę miesięcy po jego śmierci złościłam się na tę niesprawiedliwość. Mój starszy brat, Jack, który miał trzydzieści dwa lata, miał szczęście spędzić z tatą dziesięć lat więcej.

Mama najwyraźniej wyczuwała mój gniew, choć nigdy jej o nim nie wspominałam, więc zaczęły mnie gnębić wyrzuty sumienia; w końcu to nie była jej wina. Bardzo ją kochałam – zawsze byliśmy sobie bliskie – i widziałam, że ona też cierpi. Robiłyśmy, co w naszej mocy, by się nawzajem pocieszyć, i jakoś przebrnęłyśmy przez to razem.

Jack był wspaniały – zajął się wszystkimi okropnymi formalnościami po śmierci taty. Musiał też przejąć prowadzenie winnicy, przedsiębiorstwa, które mama z tatą stworzyli od podstaw, ale mój brat był przynajmniej dobrze przygotowany przez ojca do tego zadania.

Od małego chodził z ojcem, kiedy ten doglądał swoich cennych krzewów, które między lutym a kwietniem, w zależności od pogody, rodziły grona, przekształcające się w końcu w cudowne – a ostatnio i nagradzane – pinot noir. Butelki tego wina leżakowały potem w piwnicy, a wreszcie rozwożono je po całej Nowej Zelandii i Australii. Tata wyjaśnił Jackowi wszystkie etapy produkcji, nim mój brat skończył dwanaście lat. Już w tym wieku tyle umiał, że byłby pewnie w stanie sam zarządzać pracownikami.

Kiedy skończył szesnaście lat, oficjalnie zadeklarował, że chce przyłączyć się do ojca i pewnego dnia prowadzić winnicę. Tata był w siódmym niebie. Jack pojechał studiować ekonomię, a potem zaczął pracować w pełnym wymiarze w naszej winnicy.

– Nie ma nic lepszego, niż przekazać następcom zdrowo funkcjonujące przedsiębiorstwo – powiedział ojciec, wznosząc toast za Jacka, kiedy ten wrócił z półrocznej praktyki w winnicy w Adelaide Hills w Australii i tata uznał, że syn jest już gotowy na to, by zostać jego współnikiem. – Może i ty pewnego dnia do nas dołączysz, Mary-Kate – dodał. – Sto lat, za winiarzy z rodu McDougal!

Podczas gdy mój brat wpasował się w marzenia taty, ze mną było wręcz przeciwnie. Pewnie Jacka naprawdę pasjonowała produkcja świetnych win, a poza tym potrafił wyczuć wadliwe grono na kilometr i miał dryg do interesów. Ja, dorastając, widziałam, jak tata z Jackiem doglądają krzewów i z oddaniem pracują w czymś, co czule nazywaliśmy „laboratorium” (a co w rzeczywistości było tylko sporą szopą z blaszanym dachem), ale moje zainteresowania były inne. Winnica wydawała mi się czymś, co nie dotyczy mnie i mojej przyszłości, ale to nie przeszkadzało mi po szkole albo podczas wakacji i ferii pracować w naszym sklepiku czy pomagać, kiedy tylko zaszła taka potrzeba. Wino nie było jednak moją pasją. Choć tata robił wrażenie rozczarowanego, kiedy oznajmiłam, że chciałabym iść na studia muzyczne, wielkodusznie to zrozumiał.

– Pięknie – orzekł, ściskając mnie. – Muzyka to wspaniała dziedzina, Mary-Kate. A czym konkretnie chciałabyś się w przyszłości zajmować?

Nieśmiało zdradziłam, że myślę o śpiewaniu i pisaniu piosenek.

– Ambitne marzenia. Mogę tylko życzyć ci szczęścia i zapewnić, że oboje z mamą będziemy cię wspierać, prawda?

– Cudownie, Mary-Kate, bardzo się cieszę – powiedziała mama. – Wyrażanie siebie w piosence to prawdziwa magia.

Zaczęłam więc studia muzyczne. Wybrałam Uniwersytet Wiktorii w Wellingtonie, który oferował je na poziomie światowym – i cieszyłam się każdą minutą nauki. Miałam dostęp do porządnego studia, gdzie mogłam nagrywać piosenki. Otoczenie kolegów i koleżanek, którzy dzielili moją pasję, okazało się fantastyczne. Stworzyłam duet z Fletchem, który był wspaniałym przyjacielem,

grał na gitarze rytmicznej, a jego głos harmonizował dobrze z moim. Ja akompaniowałam nam na keyboardzie. Od czasu do czasu dawaliśmy koncerty w Wellingtonie. Wystąpiliśmy też na gali dyplomowej w zeszłym roku i właśnie wtedy moja rodzina po raz pierwszy miała okazję usłyszeć na żywo, jak śpiewam i gram.

– Jestem z ciebie taki dumny, MK – powiedział tata i mnie uściskał.

To była jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu.

– I teraz, rok po dyplomie, nadal płaczę się po winnicy – mruknęłam. – A coś ty sobie myślała? Że zwrócą się do ciebie ludzie z jakiejś wytwórni jak Sony i będą błagać, żebyś podpisała z nimi kontrakt?

Odkąd opuściłam uczelnię, moja przyszłość malowała się w coraz czarniejszych barwach. W dodatku po śmierci taty nie byłam w stanie skupić się na komponowaniu. Miałam wrażenie, że jednocześnie straciłam dwie miłości swojego życia, zwłaszcza że były ze sobą tak ściśle związane. Tata uwielbiał piosenki śpiewane przez różne wokalistki i to mnie zainspirowało. Dorastałam, słuchając Joni Mitchell, Joan Baez i Alanis Morissette.

Czas spędzony na studiach w Wellingtonie uświadomił mi, jak bezpieczne i idylliczne miałam dzieciństwo. Dolina Gibbston była niczym rajski ogród. Góry wyrastające wokół niej stanowiły przyjemną fizyczną barierę od reszty świata, a żyzne ziemie w magiczny sposób rodziły mnóstwo owoców.

Pamiętam, jak nastoletni Jack podstępnie namówił mnie do zjedzenia jeżyn z kolczastych dzikich krzewów za domem i jego śmiech, kiedy wypluwałam kwaśne owoce. W tamtych czasach chodziłam samopas. Rodzice nie bali się o mnie. Wiedzieli, że w tej cudownej wiejskiej krainie nie stanie mi się nic złego. Mogłam bawić się w chłodnych, przejrzystych strumieniach czy gonić króliki wśród szorstkich traw. Tata z mamą pracowali w winnicy. Robili wszystko, od sadzenia krzewów i zabezpieczania ich przed wygłodniałymi dzikimi zwierzętami, po zbieranie owoców i wyciskanie ich. A ja żyłam w swoim świecie.

Jasne poranne słońce przesłoniła nagle chmura, nadając dolinie ciemniejszy odcień zieleni. To było ostrzeżenie, że nadchodzi zima i nie po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy mój przyjazd tu nie był błędem. Kilka miesięcy wcześniej mama po raz pierwszy

wspomniała o swoim pomysle, by wziąć sobie „wolne” na – jak to określiła – „wielką podróż” dookoła świata. Chciała odwiedzić przyjaciół, których nie widziała od lat. Spytała, czy nie miałabym ochoty się z nią wybrać. W tym czasie miałam jeszcze nadzieję, że nagranie demo, które zrobiliśmy z Fletchem i tuż przed śmiercią taty rozesłaliśmy do światowych wytwórni płytowych, wywoła jakieś zainteresowanie. Niestety, na półce w moim pokoju rosła sterta odpowiedzi w stylu: *Ten rodzaj muzyki nie jest tym, czego w tej chwili szukamy.*

– Kochanie, chyba nie muszę ci mówić, że jeśli chodzi o możliwość przebicia się, rynek muzyczny jest jedną z najtrudniejszych branż – powiedziała mama.

– Dlatego sądzę, że powinnam tu zostać – odparłam. – Pracujemy z Fletchem nad nowym materiałem. Nie mogę opuścić tonącego statku.

– Na pewno, racja – przyznała. – Przynajmniej masz winnicę, gdzie zawsze możesz wrócić i pracować, gdyby coś poszło nie tak.

Wiedziałam, że mówi to z dobrego serca i powinnam być wdzięczna, że mogłabym zarabiać, pomagając w sklepie i w księgowości. Ale kiedy spojrzałam na swój rajski ogród, westchnęłam ciężko, bo myśl, że miałabym tu zostać na resztę życia, nie napawała mnie optymizmem, choć w dolinie Gibbston było bezpiecznie i pięknie. Wszystko się zmieniło, odkąd poszłam na studia, a jeszcze bardziej po śmierci taty. Miałam wrażenie, że z jego odejściem przestało bić serce tego miejsca. W dodatku Jack – który przed śmiercią taty umówił się na wyjazd na lato do winnicy w Dolinie Rodanu – zdecydował z mamą, że nie powinien rezygnować z planów.

– Przyszłość winnicy leży w rękach Jacka. Musi nauczyć się, ile tylko zdoła – powiedziała mi mama. – Na miejscu zostanie nasz zarządca Doug i pokieruje wszystkim. A poza tym, to pora, kiedy nic się specjalnie nie dzieje. Idealny czas na wyjazd Jacka.

Ale kiedy wczoraj mama wyruszyła w swoją „wielką podróż”, a Jacka też już nie było, poczułam się bardzo samotna i bałam się, że popadnę w jeszcze większe przygnębienie.

– Tęsknię za tobą, tato – szepnęłam, wchodząc do kuchni, by wziąć sobie coś na śniadanie, choć nie byłam głodna. Cisza panująca w domu nie poprawiała mi nastroju. Przez całe moje dzieciństwo

zawsze roilo się tu od ludzi – jak nie dostawcy lub zbieracze, to ściągający do winnicy goście, z którymi rozmawiał tata. Częstoował ich próbkami naszych win i często zapraszał na kolację. Gościnność i przyjacielski stosunek leżą w naturze Kiwi – mieszkańców Nowej Zelandii. Byłam przyzwyczajona, że siadamy z całkiem obcymi ludźmi do naszego wielkiego sosnowego stołu w jadalni, z której roztaczał się widok na dolinę. Nie miałam pojęcia, jakim cudem mama potrafiła w jednej chwili wyczarować mnóstwo pyszności, ale tak się działo. A tata, wesoły i serdeczny, sprawiał, że zawsze było mnóstwo śmiechu. Bawiliśmy się doskonale.

Teraz brakowało mi także Jacka i jego spokojnej, pozytywnej energii. Lubił się ze mną przekomarzać, ale jednocześnie wiedziałam, że mam w nim wsparcie i najlepszego opiekuna.

Wyjęłam z lodówki karton soku pomarańczowego i wlałam resztkę jego zawartości do szklanki, a potem mocowałam się, by ukroić kromkę z bochenka czerstwego chleba. Zrobiłam z niej grzanekę, żeby była jadalna, i wzięłam się za spisywanie listy zakupów. Musiałam uzupełnić zapasy. Najbliższy sklep był w Arrowtown. Powinam się tam wkrótce wybrać. Choć mama zostawiła mnóstwo pojemników z gotowymi daniami w zamrażarce, jakoś nie wydawało mi się stosowne rozmrażać tak wielkie porcje tylko dla mnie.

Trzęsąc się z zimna, ruszyłam z listą do salonu. Usiadłam na starej kanapie przed wielkim kominkiem zbudowanym z szarego wulkanicznego kamienia, którego było w okolicy pod dostatkiem. Między innymi to ten kominek trzydzieści lat temu przekonał moich rodziców do kupna jednoizbowej wówczas chaty na pustkowiu. Nie było tu bieżącej wody ani żadnych wygod. Mama i tata lubili wspominać, jak to pierwszego lata oni i dwuletni Jack myli się w strumieniu między skałami za chatą, a za wygodkę służyła im zwykła dziura w ziemi.

– To było najszczęśliwsze lato w moim życiu – mawiała mama. – A w zimie zrobiło się jeszcze lepiej, bo paliliśmy w kominku.

Miała bzik na punkcie ognia. I kiedy tylko w dolinie zaczynały się mrozy, tata, Jack i ja byliśmy wysyłani po drewno ze składziku – dobrze wyleżakowane, bo narąbane dużo wcześniej. Układaliśmy je we wnękach po obu stronach kominka. Potem mama pocierała zapalkę nad umieszczonymi w nim szczapami i odprawiała rytuał

rozpalania pierwszego ognia. Od tej chwili przez wszystkie dni zimy w kominku wesoło trzaskały płomienie aż do września, gdy dzikie hiacynty i przebiśniegi (których cebulki sprowadziliśmy z Europy) zakwitły pod drzewami, zwiastując początek wiosny w Nowej Zelandii.

Może powinnam tu napalić, pomyślałam, wspominając ciepły, przyjemny blask, który witał mnie w mroźne dni przez całe moje dzieciństwo, kiedy wracałam ze szkoły. Jeśli tata był metaforycznym sercem winnicy, mama i jej ogień były nim dla naszego domu.

Otrząsnęłam się z tych myśli. Przecież jestem za młoda, żeby szukać pociechy we wspomnieniach z dzieciństwa. Potrzebowałam towarzystwa, to wszystko. Problem w tym, że większość moich przyjaciół ze studiów albo wyjechała za granicę – nacieszyć się ostatnimi chwilami wolności, nim się ustatkują i znajdują zatrudnienie – albo już pracowała.

Choć mieliśmy w domu linię telefoniczną, sygnał internetu pojawiał się tylko od czasu do czasu. Wysyłanie maili było koszmarem i tata często wołał już jechać z tym pół godziny do Queenstown i korzystać z komputera swojego przyjaciela prowadzącego biuro turystyczne. Zawsze mówił, że nasza dolina to Brigadoon, jak wioska z filmu z lat pięćdziesiątych, która budzi się ze snu tylko na jeden dzień co sto lat, żeby nigdy nie zmienić jej świat zewnętrzny. Może miał rację – w dolinie wszystko pozostawało mniej więcej jak za dawnych czasów – ale na pewno nie było to miejsce dla początkującej piosenkarki, która chce zaistnieć na scenie muzycznej. Marzył mi się Manhattan, Londyn lub Sydney, ogromne budynki, gdzie mieściły się wytwórnie płytowe, które wzięłyby Fletcha i mnie pod swoje skrzydła i zrobiły z nas gwiazdy...

Moje myśli przerwał dzwonek telefonu. Poderwałam się na nogi, żeby zdążyć odebrać.

– Tu winnica – rzuciłam automatycznie, jak to robiłam od czasów dzieciństwa.

– Cześć, MK, mówi Fletch – odezwał się mój przyjaciel, skracając moje imię do inicjałów, jak wszyscy poza mamą.

– O, cześć... – Serce zabiło mi mocniej. – Jakież nowe wieści?

– Nie, nic. Ale pomyślałem, że może skorzystam z twojej propozycji i do ciebie przyjadę. Mam kilka dni wolnego w kawiarni i chętnie ucieknę na trochę z miasta. Co ty na to?

A ja tak chętnie wyrwałabym się do miasta...

– Cudownie! Wpadaj, kiedy chcesz. Zapraszam.

– A gdyby tak jutro? Wybrałbym się samochodem, więc byłbym pewnie koło południa. Oczywiście jeśli tylko Sissy wydzi.

Sissy to furgonetka, którą Fletch i ja jeździliśmy na występy po pubach. Miała dwadzieścia lat, była cała przerdzewiała i pluła czarnym dymem z rury wydechowej, którą Fletch podwiązał sznurkiem. Mogłam tylko mieć nadzieję, że Sissy wytrzyma jakoś trzygodzinną jazdę z Dunedin, gdzie mieszkał z rodziną.

– Czyli do zobaczenia koło lunchu? – spytałam.

– Tak. Już nie mogę się doczekać. Wiesz, jak uwielbiam waszą dolinę. Może siądziemy sobie na kilka godzin przy pianinie i skomponujemy coś nowego?

– Jasne – odparłam, choć wiedziałam, że nie jestem w najlepszej formie do tworzenia czegokolwiek. – To na razie, Fletch. Do zobaczenia jutro.

Odłożyłam słuchawkę i wróciłam na kanapę, pokrzepiona na duchu perspektywą przyjazdu przyjaciela. Zawsze poprawiał mi nastrój swoim poczuciem humoru i pozytywnym podejściem do życia.

Nagle usłyszałam dochodzący z zewnątrz okrzyk i przeciągły gwizd. W ten sposób zarządca winnicy uprzedzał, że nadchodzi. Wstałam, wyszłam na taras i pomiędzy nagimi rzędami winorośli zobaczyłam zbliżającego się do domu Douga z grupką krępych wyspiarzy.

– Hej, hej! – zawołałam.

– Cześć, MK! Przyprowadziłem ekipę, żeby pokazać im, od czego zaczynać – powiedział.

– Fajnie. Cześć, chłopaki! – krzyknęłam do nich, a oni mi pomachali.

Ich obecność przyjemnie przełamała ciszę. Miałam wrażenie, że słońce wyszło zza chmur. Widok ludzi i świadomość, że jutro przyjedzie Fletch, bardzo podniosły mnie na duchu.

2

Atlantis
Jezioro Genewskie, Szwajcaria
Czerwiec 2008

– Jesteś blada, Maju. Dobrze się czujesz? – spytała Marina, wchodząc do kuchni.

– Nic mi nie jest. Po prostu nie najlepiej spałam. Myślałam o tej bombie, jaką spuścił na nas Georg.

– Tak, to szok. Kawy? – zaproponowała Marina.

– O nie, dziękuję. Chętnie napiję się herbaty z rumianku, jeśli jest.

– Oczywiście, mam rumianek – wtrąciła Claudia. Jej siwe włosy były ściągnięte jak zwykle w ciasny koczek, a surowa twarz rozpromieniła się w uśmiechu, kiedy popatrzyła na Maję, stawiając na kuchennym stole koszyczek świeżo upieczonych rogalików i bułeczek. – Pijam go co wieczór przed snem.

– Chyba coś ci dolega, Maju. Nie pamiętam, żebyś kiedyś odmówiła rano kawy – zauważyła Marina, nalewając sobie.

– Zwyczajnie są po to, żeby je łamać – powiedziała Maja słabym głosem. – Najwyraźniej nie przestawiłam się jeszcze na tutejszy czas po locie.

– Nic dziwnego, *chérie*. To może zjedz coś, wracaj do łóżka i spróbuj zasnąć?

– Nie. Georg mówił, że zajrzy do nas, by przedyskutować, co zrobimy z... w sprawie Zaginionej Siostry. Jak sądzisz, czy jego źródła są wiarygodne?

– Nie mam pojęcia. – Marina westchnęła ciężko.

– Na pewno – wtrąciła się Claudia. – Nie wpadałby tu o północy, gdyby miał wątpliwości.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała Ally, dołączając do towarzystwa w kuchni.

Miała w nosidelku śpiącego Beara. Główka opadała mu na bok, a w jednej z malutkich piąstek zaciskał kosmyk kręconych, złocistorudych loków mamy.

– Może chcesz, żebym zabrała go od ciebie i zaniósła do łóżeczka? – zaproponowała Marina.

– Nie, bo jak tylko orientuje się, że jest sam, od razu budzi się i wrzeszczy. Ojej, Maju. Jakaś ty blada.

– Przed chwilą też to mówiłam – mruknęła Marina.

– Naprawdę, nic mi nie jest – powtórzyła Maja. – A właśnie... jest tu gdzieś Christian? – zwróciła się do Claudii.

– Tak, choć właśnie wybiera się łodzią na drugą stronę jeziora, żeby zrobić mi zakupy.

– Mogłabyś do niego zadzwonić i powiedzieć mu, że z nim popłynę? Muszę coś załatwić w mieście. Jeśli się pospieszymy, wrócimy na czas, żebym była tu, kiedy wpadnie Georg.

– Oczywiście.

Claudia wzięła słuchawkę, by powiadomić Christiana.

– Muszę się trochę pokrzątać po domu – oznajmiła Marina, stawiając przed Ally filiżankę kawy. – Zostawiam was więc. Jedzcie sobie w spokoju śniadanie, dziewczynki.

– Christian szykuje łódź. Będzie gotów za piętnaście minut – powiedziała Claudia, odkładając telefon. – Ja też idę. Pomogę Marinie. – Skinęła im głową i wyszła z kuchni.

– Na pewno nic ci nie jest? – spytała Ally siostrę, kiedy zostały same. – Jesteś blada jak chusta.

– Proszę, nie przesadzaj. Może w samolocie złapałam jakiegoś wirusa żołądkowego. – Maja łyknęła odrobinę herbaty. – Rany, jak tu dziwnie, prawda? Wszystko jest niby jak dawniej, kiedy żył Pa Salt. Tylko że jego już nie ma. Cokolwiek się dzieje, czuję, jak bardzo go brak.

– Ja jestem tu dłużej. Przyzwyczaiłam się trochę... ale masz rację.

– A skoro już mowa o tym, jak to ja źle wyglądam, to muszę powiedzieć, że strasznie schudłam.

- Po porodzie zrzuciłam brzuch, to normalne.
- Nie, nie w tym rzecz. Pamiętasz, ostatni raz widziałam cię rok temu, kiedy wyjeżdżałaś stąd, by dołączyć do Theo na regatach Fastnet. Nie byłaś wtedy jeszcze w ciąży.
- Tak naprawdę byłam, ale o tym nie wiedziałam – sprostowała Ally.
- Nie miałaś żadnych objawów? Porannych mdłości czy czegoś w tym rodzaju?
- Z początku nie. Zaczęło się dopiero koło ósmego tygodnia, o ile sobie przypominam. I wtedy czułam się naprawdę paskudnie.
- A teraz za bardzo wychudłaś. Może nie dbasz o siebie?
- Kiedy jestem sama, nie chce mi się gotować. Nie warto dla jednej osoby. Poza tym, nawet jeśli siadam coś zjeść, stale zrywam się od stołu, żeby uspokoić małego. – Ally pogładziła czule policzek Beara.
- Musi być ci ciężko wychowywać samej dziecko.
- Przyznam, że tak. Oczywiście mam brata, Thoma, ale jest drugim dyrygentem w filharmonii w Bergen, więc widujemy się tylko w niedziele. A czasem nawet rzadziej, bo jeździ w trasy z orkiestrą. To nie brak snu, wieczne karmienia i zmienianie pieluch najbardziej mnie męczą. Najgorsze jest to, że nie mam z kim pogadać, zwłaszcza kiedy Bear źle się czuje i martwię się o niego. Cudownie jest mieć w pobliżu mamę. Ona wie wszystko o dzieciach.
- W końcu to babcia. – Maja uśmiechnęła się. – Pa Salt tak by się cieszył z Beara. Naprawdę ten mały jest uroczy. Ale przepraszam, biegnę na górę się przygotować.
- Gdy Maja wstała, Ally złapała starszą siostrę za rękę.
- Tak dobrze cię widzieć. Bardzo za tobą tęskniłam.
- A ja za tobą. – Maja pocałowała ją w czubek głowy. – Do zobaczenia.

*

- Ally! Maju! Przyszedł Georg! – zawołała Marina z dołu schodów w południe.
- Z mansardy dobiegły okrzyki „Idziemy!”.
- Pamiętasz, jak Pa Salt kupił ci na gwiazdkę mosiężny megafon? – Georg uśmiechnął się, idąc za Mariną przez kuchnię na zalany słońcem taras.

Prawnik wydawał się o wiele bardziej opanowany niż poprzedniego wieczoru. Jego szpakowate włosy były starannie szesane do tyłu, a elegancki prążkowany garnitur zdobiła dobrana ze smakiem mała poszetka.

– No pewnie – rzuciła Marina, wskazując mu miejsce pod parasolem. – Oczywiście niewielki był z tego pożytek, bo dziewczynki zawsze nastawiały muzykę na pełen regulator albo na czymś grały... albo się kłóciły. Na górze było jak w wieży Babel. Uwielbiałam to. No dobrze, mam likier z dzikiego bzu Claudii i schłodzoną butelkę twojego ulubionego prowansalskiego rosé. Co wybierasz?

– Dzień taki piękny, a ja jeszcze nie skosztowałem tego lata rosé, więc się skuszę. Dziękuję, Marino. Mogę nalać i tobie?

– Oj, nie. Nie powinnam pić. Mam jeszcze dużo do zrobienia po południu i...

– Daj spokój. Jesteś Francuzką! Kieliszek rosé ci nie zaszkodzi. Nalegam.

Na tarasie pojawiły się Maja i Ally.

– Witajcie, dziewczyny. – Georg wstał. – Mogę wam zaproponować po kieliszku rosé?

– Dla mnie odrobinę, poproszę. – Ally usiadła. – Może dzięki temu Bear będzie lepiej spał w nocy. – Zachichotała.

– Ja nie, dziękuję – odparła Maja. – Wiecie, już prawie zapomniałam, jak pięknie jest w Atlantis. W Brazylii wszystko jest takie... intensywne. Ci hałaśliwi ludzie, jaskrawe kolory i upał... W porównaniu z tym wszystko tu wydaje się takie delikatne, łagodne.

– Spokojnie tu, to prawda – przyznała Marina. – Mamy szczęście mieć wokół siebie całe piękno, jakie jest w stanie zaferować natura.

– Jak ja się stęskniłam za śniegiem w zimie – szepnęła Maja.

– Powinnaś przyjechać do Norwegii zimą. Zaraz by ci przeszło. – Ally się uśmiechnęła. – Bywa też gorzej, kiedy stale leje. W Bergen deszczu jest o wiele więcej niż śniegu. Ale, ale, Georg, masz jakieś nowe przemyślenia na temat tego, co nam wczoraj powiedziałaś?

– Poza tym, że musimy przedyskutować, co dalej, to nie. Jedno z nas powinno pojechać teraz pod adres, który mam, i sprawdzić, czy ta kobieta jest naprawdę Zaginioną Siostrą.

– A po czym to poznamy? – spytała Maja. – W jaki sposób ją

zidentyfikujemy?

– Przekazano mi rysunek... pewnego klejnotu, który podobno dostała. Jest dość niezwykły. Jeśli go ma, będziemy wiedzieć na pewno, że to ona. Przywiozłem ten rysunek. – Georg sięgnął do skórzanej aktówki i wyciągnął jakąś kartkę. Położył ją na stole, żeby wszystkie mogły zobaczyć.

Ally nachyliła się, by przyjrzeć się z bliska, Maja zaglądała jej przez ramię.

– Jest narysowany z pamięci – wyjaśnił Georg. – Te kamienie to szmaragdy. A pośrodku diament.

– Piękny – powiedziała Ally. – Patrz, Maju, ma kształt gwiazdy... – urwała, by przeliczyć – siedmioramiennej.

– Wiesz, kto zrobił ten pierścionek? – spytała prawnika Maja. – Ma dość niezwykły kształt.

– Niestety, nie.

– Czy to Pa Salt go narysował? – dążyła dalej.

– Tak.

– Siedmioramienna gwiazda, symbol Siedmiu Sióstr... – szepnęła Ally.

– Georg, mówiłeś wczoraj, że ona ma na imię Mary – przypomniała Maja.

– Owszem.

– Czy Pa Salt ją znalazł, chciał adoptować, a potem coś się stało i nie mógł jej znaleźć?

– Wiem tylko tyle, że tuż przed tym, jak... odszedł, dostał nowe informacje i kazał mi pójść ich śladem. Kiedy dowiedziałem się, gdzie się urodziła, prawie rok zajęło mi ustalenie, gdzie może przebywać teraz. Przez lata podążałem wieloma fałszywymi tropami, które prowadziły donikąd. Tym razem jednak wasz ojciec był przekonany, że źródło jest wiarygodne.

– Kto był tym źródłem? – spytała Maja.

– Tego nie mówił – odparł Georg.

– Jeśli to byłyby Zaginiona Siostra, jaka szkoda, że po tylu latach poszukiwań odnalazłaby się dopiero rok po śmierci Pa Salta. – Maja westchnęła ciężko.

– Czy nie byłoby cudownie, gdyby to była ona? – powiedziała Ally. – Mogłybyśmy zaprosić ją do Atlantis, żeby razem z nami popłynęła *Tytanem* i uczestniczyła w złożeniu wieńca w hołdzie dla

Pa Salta.

– Masz rację. – Maja uśmiechnęła się. – Choć jest jeden szkopuł. Według twojej informacji, Georg, ta Mary nie mieszka zbyt blisko. A my wyruszamy w rejs do Grecji za niecałe trzy tygodnie.

– No tak, a ja, niestety, mam dość napięty grafik – zaznaczył Georg. – Gdyby nie to, sam pojechałbym ją odnaleźć.

Jakby dla podkreślenia jego słów zadzwonił jego telefon. Prawnik przeprosił i odszedł od stołu.

– Mogę coś zasugerować? – przerwała ciszę Marina.

– Oczywiście, mamo, prosimy – zachęciła ją Maja.

– Georg powiedział nam wczoraj, że ta Mary mieszka w Nowej Zelandii, więc dziś rano sprawdziłam, ile trwa podróż z Sydney do Auckland. Bo...

– ...CeCe jest w Australii – dokończyła za nią Maja. – Też o tym pomyślałam.

– Z Sydney do Auckland są trzy godziny lotu – powiedziała Marina. – Jeśli CeCe i jej przyjaciółka Chrissie wyruszyłyby dzień wcześniej, niż planowały, może mogłyby zahaczyć o Nową Zelandię i sprawdzić, czy Mary jest tą, za którą uważa ją Georg.

– Doskonały pomysł – rzuciła Ally. – Zastanawiam się tylko, czy CeCe zechce to zrobić. Wiem, że nie znosi latać.

– Jeśli wyjaśnimy jej, w czym rzecz, na pewno się zgodzi – odparła Marina. – To byłoby coś wspaniałego, gdyby Zaginiona Siostra dołączyła do rodziny na ceremonii ku czci ojca.

– Pytanie tylko, czy ta Mary w ogóle wie coś o Pa Salcie i naszej rodzinie? – wyraziła swoje wątpliwości Ally. – Tak rzadko spotykamy się teraz wszystkie razem... To byłby idealny moment, żeby się poznać. Oczywiście jeśli ona jest tą, za którą uważa ją Georg. I jeżeli zechce się z nami zobaczyć. Sądzę, że teraz najważniejsze to jak najszybciej skontaktować się z CeCe, bo w Australii jest już wieczór.

– A co z resztą siostr? – spytała Maja. – To znaczy... czy mamy im powiedzieć?

– Słuszne pytanie – stwierdziła Ally. – Powinniśmy wysłać maile do Star, Tiggy i Elektry, żeby dać im znać, co się dzieje. Chcesz zadzwonić do CeCe, Maju, czy ja mam to zrobić?

– Może ty zadzwoń, dobrze? Jeśli wam to nie przeszkadza, poszłabym położyć się na trochę przed lunchem. Wciąż lekko mnie mdli.

– Biedactwo – powiedziała Marina, wstając. – Rzeczywiście, jesteś aż zielona.

– Zaraz zadzwonię do CeCe – zdecydowała Ally. – Mam tylko nadzieję, że nie wyjechała ze swoim dziadkiem na plener w dziczy. W jego chacie zwykle nie ma sygnału.

Z kuchni wyłoniła się Claudia.

– Zacznę szykować lunch. Zostanie pan? – spytała Georga, który właśnie wracał do stołu.

– Nie, dziękuję. Mam kilka pilnych spraw i muszę natychmiast jechać. Co ustaliliście? – zwrócił się do Mariny.

Ally z Mają opuściły taras. Marina dostrzegła kropelki potu na czole prawnika. Wydawał się dziwnie rozkojarzony.

– Skontaktujemy się z CeCe, może będzie mogła polecić – oznajmiła Marina. – Georg, jesteś pewien, że to jest ona?

– Przekonywali mnie do tego ci, którzy mają dobre rozeznanie – odpowiedział. – Chciałbym móc pogadać dłużej, ale, niestety, muszę się już pożegnać.

– Dziewczyny sobie z tym poradzą. To już dorosłe kobiety, będą wiedziały, co robić. – Marina położyła rękę na jego dłoni, by go uspokoić. – Staraj się nie martwić. Mam wrażenie, że jesteś strasznie spięty.

– Spróbuję, Marino, spróbuję – odparł z westchnieniem.

*

Ally znalazła australijski numer komórkowy CeCe w notesie i wzięła słuchawkę z holu, żeby zatelefonować.

– Odbierz, odbierz... – szeptała pod nosem, gdy przez pięć czy sześć dzwonek nic się nie działo. Wiedziała, że nie ma sensu zostawiać siostrze wiadomości, bo CeCe rzadko je odsłuchiwała. – Cholera – mruknęła, kiedy włączyła się poczta głosowa. Odłożyła słuchawkę i już miała iść na górę, żeby nakarmić Beara, kiedy zadzwonił telefon. – *Allô?*

– Cześć, czy to mama?

– CeCe! To ja, Ally. Dzięki wielkie, że oddzwoniłaś.

– Nie ma sprawy, wyświetlił mi się numer Atlantis. Wszystko w porządku?

– Tak, tu wszystko dobrze. Wczoraj przyleciała Maja. Cudownie znów ją widzieć. Kiedy dokładnie masz lot do Londynu?

– Pojutrze jedziemy z Alice Springs do Sydney. Chyba mówiłam ci, że planujemy najpierw zatrzymać się na kilka dni w Londynie. Muszę załatwić sprzedaż mojego mieszkania i chcemy zobaczyć się ze Star. Okropnie boję się lotu, jak zwykle.

– Wiem, ale słuchaj, Georg przyniósł nam niesamowitą wiadomość. Nie martw się, nic złego, ale to ważne... albo przynajmniej może się okazać bardzo ważne.

– O co chodzi?

– Dostał informacje o... Zaginionej Siostrze. Sądzi, że ona mieszka w Nowej Zelandii.

– Masz na myśli słynną siódmą siostrę? O rany! – CeCe aż dech zaparło z wrażenia. – Co za historia! Jak Georg ją znalazł?

– Nie jestem pewna. Wiesz, jaki jest skryty. Więc...

– Zaraz spytasz mnie, czy nie podskoczyłabym do Nowej Zelandii, żeby się z nią zobaczyć, co? – odezwała się CeCe.

– Piątka, mój ty Sherlocku Holmesie. – Ally uśmiechnęła się do słuchawki. – Wiem, że to nieco wydłuży ci podróż, ale jesteś zdecydowanie najbliżej. Byłoby cudownie, gdybyśmy mogły ją mieć wśród nas, kiedy będziemy składać wieniec dla Pa Salta.

– Jasne, ale nic o tej osobie nie wiemy. A czy ona wie cokolwiek o nas?

– Nie mamy pojęcia. Georg zna tylko jej nazwisko, imię i adres. O! I jest jeszcze rysunek pierścionka, który dowodziłby, że to ona.

– Podasz mi adres? Bo wiesz, Nowa Zelandia to spory kraj.

– Nie mam go przy sobie, ale mogę zawołać do słuchawki Georga. Georg?!

Ally skinęła na niego ręką, bo właśnie wynurzył się z kuchni i ruszał do wyjścia.

– Mam przy telefonie CeCe. Chce wiedzieć, gdzie konkretnie w Nowej Zelandii mieszka ta Mary.

– Mary? Tak ma na imię? – spytała CeCe.

– Wszystko na to wskazuje. Daję ci Georga.

Ally słuchała, gdy prawnik odczytywał adres.

– Dziękuję, CeCe – powiedział potem. – Wszelkie koszty zostaną pokryte z funduszu. Giselle, moja sekretarka, zarezerwuje loty. A teraz oddaję słuchawkę twojej siostrze, bo muszę iść. Masz numer mojego biura. Kontaktuj się z Giselle, jeśli byś czegoś potrzebowała. A teraz na razie, *adieu*.

– No dobrze. Jestem, CeCe. – Ally pomachała na pożegnanie Georgowi, który wychodził frontowymi drzwiami. – Wiesz, gdzie to jest w Nowej Zelandii?

– Czekaj. Zapytam Chrissie.

Odbyła się jakaś stłumiona dyskusja w tle, po czym CeCe wróciła do telefonu.

– Chrissie mówi, że to w głębi Wyspy Południowej. Sądzi, że będziemy mogli polecieć z Sydney do Queenstown. Będzie łatwiej niż przez Auckland. Zastanowimy się.

– Świetnie. Czyli wchodzisz w to? – chciała się upewnić Ally.

– Znasz mnie, uwielbiam podróże i przygody, nawet jeśli trzeba wsiąść w samolot. Nigdy nie byłam w Nowej Zelandii, fajnie będzie rzucić na nią okiem.

– Cudownie! Dziękuję, CeCe. Napisz mi w mailu, jak chcecie lecieć. Sekretarka Georga wszystko załatwi. A ja wyślę ci skan rysunku tego pierścionka.

– Dobra. Czy Star o tym wie?

– Nie. Elektra i Tiggy też nie. Zamierzam zaraz do nich napisać.

– Tak się składa, że za chwilę ma dzwonić do mnie Star. Mamy pomówić o naszym spotkaniu w Londynie, więc mogę sama jej powiedzieć. Niesamowita historia, co?

– Tak, pod warunkiem że ta Mary to naprawdę ona. Na razie, CeCe. Bądźmy w kontakcie.

– Cześć, Ally, do szybkiego usłyszenia!

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).